

Sławomir Szczyrba

„Było to około godziny dziesiątej...”

Łódzkie Studia Teologiczne 4, 251-255

1995

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KS. SŁAWOMIR SZCZYRBA

„BYŁO TO OKOŁO GODZINY DZIESIĄTEJ...”*

„Bracia: Bóg mi świadkiem, że w tym, co do was mówię, nie ma równocześnie »tak« i »nie«, Syn Boży, Chrystus Jezus, Ten, którego głosiłem wam ja i Sylwan, i Tymoteusz, nie był »tak« i »nie«, lecz dokonało się w Nim »tak«.”

(2 Kor 1, 18–19)

„Wy jesteście światłem świata. Nie może się ukryć miasto położone na górze. Nie zapala się też światła i nie stawia pod korcem, ale na świeczniku, aby świeciło wszystkim, którzy są w domu.”

(Mt 5, 14. 16)

Pewne sprawy są niewidoczne albo nie zawsze widoczne dla oczu. Nie znaczy to, iż są w ogóle poznawczo niedosiężne. To, co jest niewidoczne dla oczu, dostępne jest dla serca człowieka, który kocha. Krótko mówiąc, dostępne jest dla kochającego serca. Tę prawdę przypomina nam wielu autorów. Przypomina nam m.in. bajka dla dzieci i dla dorosłych, jaką jest niewielka książeczka Antoine de Saint-Exupéry *Mały Książę*.

Zachwycamy się i wzruszamy zawartą w niej treścią, lecz bardzo szybko – jak to zazwyczaj z treścią bajek bywa – o niej zapominamy. Pamięć jest naszym słabym, wręcz najsłabszym punktem. Jeśli ją tak łatwo tracimy, to żyjemy bez korzeni. Czy długo da się przeżyć bez korzeni? Czy długo żyje kwiat, drzewo pozbawione korzeni?

Tym pytaniem, tą refleksją usiłuję otworzyć perspektywę, w jakiej pragnę umieścić nasze zaduszkowe zamyślenie, do przewodniczenia któremu zostałem

* Jest to tekst homilii wygłoszonej 13 czerwca 1995 r. w Kaplicy Wyższego Seminarium Duchownego w Łodzi.

przywołany, z pewnych ogólnie znanych względów, w uroczystość św. Antoniego – w Dzień Imienin śp. Księdza Infulata Antoniego Woronieckiego.

Pragnę na początku nam wszystkim w sposób wyraźny postawić pytanie: Co oznacza dla każdego z nas śmierć Księdza Infulata? Czy pozostała dla nas lekcją? Gdy stawiam te pytania, to natychmiast zapytuję także, czy okazaliśmy się wystarczająco uważnymi słuchaczami tej udzielonej nam jednak lekcji?

Pytanie pierwsze jest prowokacją. Czyż śmierć człowieka nie oznacza nic innego jak tylko śmierć po prostu? – chciałoby się retorycznie skonstatować. Wobec drugiego pytania rodzi się pewien niepokój. Źródłem tego niepokoju jest swoiste przecucie, a w wielu wypadkach – oczywistość serca. Ta ostatnia przede wszystkim skłania mnie, aby uczynić nie tyle pobożne wspomnienie, ile rozbudzić pamięć. Proszę mi wybaczyć, że to, co powiem, to, co przywołam, będzie miało osobisty wydźwięk. Nie mogę nie zaświadczyć o tym, co widziały moje oczy i czego dotykały moje ręce. Współautorami tych zwierzeń mogliby być także ci spośród alumnów, którzy z wielkim oddaniem trwali przy Księdzu Infulacie. Nie mogę nie wspomnieć w tym miejscu naszej Drogiej Siostry Virginii. Te osoby mogłyby w niejednym dopowiedzieć moje skromne myśli.

Moim największym doświadczeniem sześciu lat bliskich kontaktów i wspólnie sprawowanych w tym czasie mszy świętych ze sparaliżowanym Księdzem Infulatem A. Woronieckim była doroczna Eucharystia Wielkiego Czwartku. Gdy w okolicy 1 kwietnia (1990 roku), który to dzień był dniem Jego Urodzin, zaproponowałem Księdzu Infulatowi towarzystwo w sprawowaniu mszy świętej (leżał już wtedy kilka miesięcy w swoim pokoju – na ołtarzu boleści; dokładnie od 20 sierpnia 1989 do 12 kwietnia 1990 r.), dostrzegłem w Jego oczach, zawsze tajemniczo śmiejących się, o dziecięcym wyrazie, ożywczy błysk radości. Zaraz jednak potem przemówił prawnik i człowiek, który całkowicie swoje życie złożył w dłonie Boga, gdy swojemu biskupowi przyrzekał cześć i posłuszeństwo: „A to trzeba będzie poprosić o pozwolenie Księdza Biskupa Ordynariusza” – usłyszałem. „Zrobię to z wielką radością” – odpowiedziałem.

To, że Ksiądz Infulat przejął się dogłębnie myślą o możliwości sprawowania codziennej mszy świętej. z istic młodzieńczym entuzjazmem i zaangażowaniem (dodałbym – z fantazją, jakiej nie brakuje tylko zakochanemu), potwierdza następujący fakt. Zanim uczyniłem jakikolwiek krok w celu uzyskania pozwolenia, Ksiądz Infulat, wykorzystując urodzinowe odwiedziny Księdza Biskupa, dyskretnie skierował prośbę, właściwie zapytanie o taką możliwość.

Było czymś oczywistym, że otrzymania pozwolenia, że odmowa jest wręcz niemożliwa. Można ją było wprost zakładać... Gdy z kolei ja wyraziłem gotowość i prośbę Księdzu Biskupowi, a w grę wchodziło celebrowanie Eucharystii razem z Księdzem Infulatem w Wielki Czwartek, usłyszałem tylko jeden, wypowiedziany nieco z humorem, warunek, od spełnienia którego Ksiądz Biskup uzależnił koncelebrę: „Zgadzam się pod warunkiem, że będzie sprawowane *mandatum* – czyli liturgiczne umywanie nóg”.

Oczywiście, nie wahałem się przyjąć tego warunku, choć nie byłem w stanie wtedy właściwie i dogłębnie odczytać jego znaczenia...

Przez sześć lat, przez kolejne sześć Wielkich Czwartków (także: Niedziel Zmartwychwstania Pańskiego, ale też Pasterek i 1 stycznia kolejnego Nowego Roku) sprawowałem, często przy współudziale innych kapłanów, Liturgię Pamiętki Wieczerzy Pańskiej, umywając i całując stopy Księdza Infulata – mojego Rektora, pierwszego z Przełożonych Seminarium. W Wielki Czwartek 12 kwietnia 1990 r. Ksiądz Infulat sprawował mszę świętą „prymicyjną” – pierwszą po siedmiomiesięcznej przerwie. Nie zapomnę głębokiego wzruszenia i łez Księdza Infulata. „Staliśmy” wobec siebie: On z 60-letnim doświadczeniem kapłańskiego życia i ja – z 9-letnim, początkujący wychowawca w Seminarium. Nie przypuszczałem, że rozpoczęły się wtedy dla mnie, w nowy sposób, studia w seminarium, że zawiązała się więź, która przybrała kształt synowsko-ojcowskich uczuć.

Od tego Wielkiego Czwartku Ksiądz Infulat codziennie sprawował mszę świętą. Z wdzięcznością witał każdego kapłana, który z nim koncelebrował. Oczekiwał codziennie ze skupieniem i powagą godziny dziesiątej.

Było to o godzinie dziesiątej (por. J 1, 39)

Każdego dnia o tej godzinie dokonywał się cud Ewangelii. Każdego dnia skierowane było do nas zaproszenie. Na zapytanie: „Nauczycielu, gdzie mieszkasz?” (Niekiedy inaczej ono było formułowane, np. Co słyhać u Księdza Infulata? Jak się czuje Ksiądz Infulat?), padała niezmienna dla wszystkich propozycja: „Chodź i zobacz!” Tu rozgrywało się coś z tajemnicy powołania naszego, jego nieprzewidywalna i pełna zaskoczenia nowość! Święty Jan, wspominając swoje i Andrzeja doświadczenie, zapisał: „Poszli więc i zobaczyli, gdzie mieszka, i tego dnia pozostali u Niego. Było to około godziny dziesiątej”.

Obecność Księdza Infulata Antoniego Woronieckiego w Wyższym Seminarium Duchownym w Łodzi stała się wydarzeniem bez precedensu. Dziś jeszcze nie jesteśmy w stanie w pełni zrozumieć tego, co dane było nam przeżyć, jakim darem Opatrzności dla nas (i nie mniejszym dla Księdza Infulata) było wzajemne obcowanie. Wydarzeniem, które wpisało się w porządek życia seminaryjnego była owa msza święta codziennie sprawowana, koncelebrowana w mieszkaniu naszego wieloletniego Rektora Seminarium. Tak przywykliśmy do godziny dziesiątej, o której była sprawowana msza święta w tej „bazylice najmniejszej” – jak często nazywałem mieszkanie Księdza Infulata, że jeszcze dzisiaj, gdy planujemy dłuższą nocną pracę, liczymy na to, że dołączymy się do Niego.

Nazajutrz po śmierci Księdza Infulata, w dzień imienin s. Virginii, bez wcześniejszego umawiania się co do godziny, spotkaliśmy się ok. godziny dziesiątej razem z Siostrą w „Małej” Kaplicy... Mogłem uczynić to, co uczyniłby z pewnością w tym dniu Ksiądz Infulat...

„Godzina dziesiąta” pozostaje we mnie jako pamięć tego wszystkiego, co się dokonywało przez długie sześć lat na naszych oczach. Jeśli dziś łąza kręci się w oku, to tylko dlatego, że nazbyt wiele nieuwagi towarzyszyło mi (nam wszystkim) w tym zwiastowaniu. Pozostają zatem słowa: *Było to około godziny dziesiątej* – pełne treści... i pełne miłości...

Dzisiaj głębiej odczytuję liturgiczny gest obmycia i całowania stóp Księdza Infulata w Wielki Czwartek. Ten gest rozjaśniają słowa proroka Izajasza: „O jak są pełne wdzięku na górach nogi zwiastuna radosnej nowiny...” (Iz 52, 7), a zarazem czynią go pełnym znaczenia. Dzisiaj jeszcze lepiej rozumiem słowa z *Listu do Hebrajczyków*: „Pamiętajcie o swych przełożonych, którzy głosili wam Słowo Boże, i rozpamiętując koniec ich życia, naśladowajcie ich wiarę! Jezus Chrystus wczoraj i dziś, ten sam także na wieki. Nie dajcie się uwieść różnym i obcym naukom, dobrze bowiem jest wzmacniać serce łaską, a nie pokarmami, które nie przynoszą korzyści tym, co się o nie ubiegają” (Hbr 13, 7–9).

W świetle tych słów jesteśmy w stanie lepiej zrozumieć teksty czytań z dzisiejszej liturgii, a zwłaszcza to jedno stwierdzenie, które tak głęboko naznaczyło życie Księdza Infulata w ciągu tych, pełnych cierpienia, latach: „nie był »tak« i »nie«, lecz dokonało się w Nim »tak«”. Byliśmy świadkami tego, że na podobieństwo Chrystusa, w życiu Księdza Infulata stało się faktem całkowite **tak!**

„Nie może się ukryć miasto położone na górze...” Nie może nie być dostrzeżone! Zdarzają się jednak takie wypadki. To są dramaty!

Dlatego potrzebna jest uwaga. Dlatego potrzebna jest pamięć! Pamięć sprawia, że trwa w nas to, co się wydarzyło. Więcej, pamięć sprawia, że poprzez to, co nam się tu i teraz wydarzyło, odnawia się pierwotna więź z Wydarzeniem, które poprzedza wszystko – Jezusem Chrystusem. Poprzez znak przemienionego człowieczeństwa Księdza Infulata, którego nic nie zdołało zamazać aż po ostatnie chwile Jego ziemskiego życia, poprzez ów „namiot spotkania”, dotykał nas Bóg, Jezus Chrystus – ten sam wczoraj i dziś, ten sam także na wieki. To On wybrał czas i sposób, aby nas spotkać i wezwać: „Było to około godziny dziesiątej”.

Arcybiskup Władysław Ziółek na rozpoczęcie żałobnej liturgii w bazylice 8 maja 1995 r. powiedział: „Wraz ze śmiercią Księdza Infulata odeszła bezpowrotnie historia łódzkiego Kościoła. I odeszła w jubileuszowym roku – 75-lecia łódzkiej diecezji. Nikt tak jej nie zgłębił jak on, nikt tak jak on nie miał takiej niezrównanej pamięci”. Z tej pamięci mogliśmy wszyscy skorzystać! Nie była to jednak wyłącznie-li tylko ludzka pamięć, pamięć historyczna, literacka, precyzyjność prawnika i uważność na słowa dyplomaty dużej klasy. Była to pamięć nade wszystko tego, co uczynił mu – w historycznych realiach i konkretnie codzienności – Bóg. Ileż razy o tym rozmawialiśmy... Z tej pamięci rodzi się dopiero prawdziwa pasja prawdy, pasja czytania, miłość literatury, historii ojczyznej i światowej, a nade wszystko miłość człowieka. Was, tzn. alumnów, traktował jak swoje wnuczęta. Niektórzy mogli oficjalnie zwracać się do Księdza Infulata – Dziadku (Dziaduniu). Otrzymywał kartki wakacyjne i życzenia świąteczne w ten sposób

adresowane. Jakże przeżywał Ksiądz Infulat tragiczną śmierć swojego umiłowanego „wnuczka” i pielęgniarza ks. Mariusza Szkwarka... Zdjęcie ks. Mariusza kazał powiesić sobie przy łóżku, a nekrolog zachować wśród pamiątek...

Oprócz słowa pamięć pragnę położyć wam na sercu słowo – i rzeczywistość za tym słowem się kryjąca – „seminarium”. Jeszcze lepiej, gdybym użył tu określenia „nasz dom”. On – Ksiądz Infulat – innego domu nie miał i w innym miejscu nie chciał umierać. Jakżeż dziękował Biskupowi, że pozwolił mu zamieszkać w Seminarium. Przyjął to pozwolenie jako nie tylko wyraz życzliwości Biskupa do jego osoby, ale jako wielki znak Opatrzności. Ksiądz Infulat był przekonany niezmiennie, iż Ktoś Inny, Ktoś Większy od niego, czuwa nad nim, nad każdym jego krokiem. Zachował dziecięcą wiarę.

Życie i śmierć Księdza Infulata w tym oto domu jest wielką lekcją-testamentem. Jest pytaniem: Czy ty kochasz ten dom? Czy wierzysz, że to właśnie tu dzieją się rzeczy niezwykle pośród szarej codzienności?

„Codziennie szukajcie oblicza świętych i czerpcie otuchę z ich mów” – głosiła zachęta zawarta w jednym z dokumentów pierwotnego chrześcijaństwa, *Didaché*.

Będzie nam ciągle brakowało tej „bazyliki najmniejszej z małych”, którą było mieszkanie Księdza Infulata i jego osoba oraz sprawowana z nim liturgia Najświętszej Ofiary. Brakuje nam jego oblicza i jego uśmiechniętych, choć z wolna dogasających oczu, jego pełnych mądrości, na z wolna zamierających wargach, słów. Jedno z ostatnich zdań, gdy już niewiele rozmawiał, jakie między sobą wymieniliśmy, było najprostsze: „Kochamy Księdza Infulata i jesteśmy z Księdzem Infulatem” – powiedziałem. „I ja was kocham” – usłyszałem odpowiedź. To było 3 maja, dwa dni przed śmiercią. Jeszcze następnego dnia, choć z wielkim trudem, koncelebrował.

Potrzebna jest pamięć, która nie będzie wyłącznie pobożnym wspomnieniem... „Było to około godziny dziesiątej”.